

# Fiodor Dostojewski – Sen śmiesznego człowieka

## I

Jestem śmiesznym człowiekiem. Oni mnie teraz nazywają wariatem. Byłby to może awans, gdybym nie pozostał dla nich tak samo śmieszny jak przedtem.

Przedtem bardzo rozpaczałem z tego powodu, że wydawałem się śmieszny. Nie wydawałem się, lecz byłem. Zawsze byłem śmieszny, wiem o tym, być może od pierwszej chwili życia. Może już mając siedem lat wiedziałem, że jestem śmieszny. Potem chodziłem do szkoły, potem na uniwersytet, i cóż – im więcej się uczyłem, tym lepiej pojmowałem, że jestem śmieszny. Cała moja uniwersytecka nauka istniała jak gdyby tylko po to, żeby mi udowodniać i tłumaczyć, w miarę tego, jak się w niej zagłębiałem, że jestem śmieszny. Podobnie jak w nauce, było w życiu. Z każdym rokiem rosła we mnie i utwierdzała się świadomość śmieszności pod każdym względem. Śmiali się ze mnie wszyscy i wszędzie. Ale nie wiedzieli, nikt spośród nich, i nie domyślali się, że jeśli był człowiek na ziemi, który najlepiej ze wszystkich wiedział o tym, że jestem śmieszny, to tym człowiekiem byłem ja sam, i to właśnie było dla mnie najbardziej krzywdzące, że oni tego nie wiedzą, ale to była moja własna wina: zawsze byłem tak dumny, że za nic i nigdy nie chciałem nikomu się przyznać do tego. Duma ta rosła ze mną latami i gdyby się zdarzyło, że bym sobie pozwolił przyznać się, wszystko jedno przed kim, że jestem śmieszny, to chyba natychmiast, tego samego wieczoru, palnąłbym sobie w łeb. O, jakże cierpiałem za czasów chłopięcych myśląc o tym, że nie wytrzymam i kiedyś nagle sam się przyznam przed kolegami. Lecz odkąd stałem się młodzieńcem, to – mimo że z każdym rokiem coraz lepiej zdawałem sobie sprawę z mojej okropnej właściwości – nie wiem dlaczego, stałem się trochę spokojniejszy. Tak, właśnie tak – nie wiem, dlaczego – gdyż dotychczas nie potrafię określić, dlaczego. Być może dlatego, że w mojej duszy rosła straszna melancholia z pewnego powodu, który już nieskończenie mnie przerasta: mianowicie – ugodziło we mnie przekonanie o tym, że na świecie wszędzie jest wszystko jedno. Bardzo dawno to przeczuwałem, ale zupełne przekonanie zjawiało się ostatniego roku jakoś nagle. Poczułem nagle, że byłoby mi wszystko jedno, czy świat będzie istniał, czy też nigdzie nic nie będzie. Zacząłem słyszeć i wyczuwać całą swoją istotą, że nic przy mnie nie ma. Z początku zdawało mi się, że za to wiele było przedtem, ale później się przekonałem, że przedtem też nic nie było, tylko, nie wiem czemu, się wydawało. Stopniowo się przekonywałem, że nigdy też nic nie będzie. Wtedy nagle przestałem się gniewać na ludzi i niemal ich nie dostrzegałem. Doprawdy, przejawiało się to nawet w największych drobiazgach: bywało, na przykład, że idę po ulicy i objam się o ludzi. Nawet nie z zamyślenia: o czym miałem myśleć, zupełnie przestałem wtedy myśleć, było mi wszystko jedno. Gdybym przynajmniej znalazł odpowiedź na pytania – ale nie, ani jednej nie znalazłem, a ile ich było? Ale zrobiło mi się wszystko jedno i wszystkie pytania zniknęły.

I oto, już potem, poznałem prawdę. Poznałem ją w ubiegłym listopadzie, a mianowicie trzeciego listopada, i odtąd pamiętam każdą swoją chwilę. Było to ponurego, najbardziej ponurego wieczoru, jaki tylko może być. Wracałem wtedy po dziesiątej wieczór do domu i właśnie, pamiętam, pomyślałem, że w ogóle nie jest możliwa bardziej ponura pogoda. Nawet pod względem fizycznym. Lało przez cały dzień, był to najzimniejszy, najbardziej ponury deszcz, jakiś nawet groźny deszcz, pamiętam to, z wyraźną wrogością do ludzi, aż tu nagle po dziesiątej ustał i zrobiło się strasznie wilgotno, bardziej nawet wilgotno i zimno niż wtedy, kiedy padało, i od wszystkiego biła jakaś para, od każdego kamienia na ulicy – z każdego zaułka, jeśli zajrzeć do niego aż w głąb, jak najdalej, z ulicy. Nagle mi się wydało, że gdyby zgasł wszędzie gaz, zrobiłoby się weselej, a z gazem jest smutniej na sercu, bo on to

wszystko oświetla. Tego dnia prawie nie jadłem obiadu, cały wieczór przesiedziałem u jednego inżyniera, byli tam jeszcze dwaj jego znajomi. Cały czas milczałem i chyba się im sprzykrzyłem. Mówili o czymś prowokującym i w pewnym momencie nawet się zapalili. Ale było im wszystko jedno, widziałem to, i zapalili się tylko ot tak. No i ja im to nagle wygarnąłem: “Proszę panów, powiadam, przecież wam jest wszystko jedno”. Nie obrazili się, wszyscy się tylko śmiali ze mnie. Bo powiedziałem to całkiem bez żadnego wyrzutu i po prostu dlatego, że było mi wszystko jedno. No i zobaczyli, że mnie jest wszystko jedno, i to ich rozweseliło.

Kiedy pomyślałem na ulicy o gazie, popatrzyłem na niebo. Niebo było okropnie ciemne, ale wyraźnie było widać rozdarte obłoki, a między nimi bezdenne czarne plamy. Nagle dojrzałem w jednej z tych plam gwiazdkę i zacząłem uważnie się w nią wpatrywać. To dlatego, że ta gwiazdka dała mi pomysł: postanowiłem tej nocy się zabić. Powziąłem to postanowienie już dwa miesiące temu i chociaż byłem bardzo ubogi, kupiłem wspaniały rewolwer i tego samego dnia nabiłem go. Ale minęły już dwa miesiące, a rewolwer wciąż leżał w szufladzie; było mi do tego stopnia wszystko jedno, że zapragnąłem znaleźć wreszcie taką chwilę, kiedy nie będzie mi tak zupełnie wszystko jedno; po co właściwie – nie wiem. W ten sposób przez ostatnie dwa miesiące co noc, wracając do domu, myślałem, że się zastrzelę. Wciąż czekałem na moment. No i wreszcie ta gwiazdka dała mi pomysł i postanowiłem, że to będzie nieodwołalnie jeszcze tej nocy. A dlaczego gwiazdka dała mi pomysł – nie wiem.

No i właśnie kiedy tak patrzyłem na niebo, nagle chwyciła mnie za łokieć ta dziewczynka. Ulica była już pusta, nikogo prawie nie było. W oddali spał na koźle dorożkarz. Dziewczynka mogła mieć jakieś osiem lat, była w chusteczce i w samej sukience, mokrzuteńka, ale zapamiętałem szczególnie jej mokre podarte trzewiki, pamiętam je do teraz. Zwłaszcza one wpadły mi w oczy. Nagle zaczęła mnie szarpać za łokieć i wołać. Nie płakała, lecz jakoś dziwnie wykrzykiwała urywanym głosem jakieś słowa, których nie mogła dobrze wymówić, ponieważ drżała na całym ciele drobnym dreszczem gorączki. Była czymś przerażona i rozpaczliwie wołała: “Mamusia! Mamusia!”. Obróciłem ku niej twarz, ale nie powiedziałem ani słowa, szedłem dalej, lecz ona biegła i szarpała mnie, i w jej głosie zabrzmiał ten dźwięk, który u bardzo przestraszonych dzieci oznacza rozpacz. Znam ten dźwięk. Chociaż nie wymawiała dokładnie słów, zrozumiałem, że jej matka gdzieś kona lub coś się tam im przydarzyło, więc wybiegła, by kogoś zawołać, coś znaleźć, aby pomóc mamie. Ale nie poszedłem za nią, odwrotnie, nagle przyszło mi do głowy, żeby ją przepędzić. Z początku powiedziałem jej, aby poszukała stójkowego. Ale ona złożyła błagalnie rączki i zanosząc się łkaniem wciąż biegła obok mnie. No i wtedy tupnąłem na nią i krzyknąłem. Zawołała tylko: “proszę pana, proszę pana”, i nagle oddaliła się ode mnie, w okamgnieniu przebiegła na drugą stronę ulicy: ukazał się tam jakiś przechodzień, widocznie rzuciła się teraz ku niemu.

Wszedłem na swoje czwarte piętro. Mieszkam jako sublokator, gospodarze odnajmują pokoje. Pokój mam nędzny, mały, owalne okno wychodzi na strych. Jest tylko kanapa obita ceratą, stół, na nim książki, dwa krzesła i wygodny fotel, bardzo stary, ale za to wolterowski. Usiadłem, zapaliłem świecę i zacząłem myśleć. W pokoju obok, za przepierzeniem, trwała sodomia i gomora. Trwała już trzeci dzień. Mieszkał tam emerytowany kapitan, miał gości – ze sześciu nygusów, pili wódkę i grali w sztosy starymi kartami. Ubiegłej nocy była tam bójka i wiem, że dwaj spośród nich długo się szarpali za włosy. Gospodyni chciała się poskarżyć, ale boi się kapitana okropnie. Prócz tego w jednym z pokoi mieszka pewna niziutka, szczuplutka pani, chyba żona wojskowego, przyjezdna, z trojgiem małych dzieci, które zachorowały już u nas w mieszkaniu. I ona, i dzieci boją się kapitana do nieprzytomności i całą noc trzęsą się i czynią znak krzyża, najmniejsze dziecko dostało nawet ze strachu jakiegoś ataku. Ten kapitan, wiem o tym na pewno, zatrzymuje czasami przechodniów na Newskim i prosi o wsparcie. Pracy nie może dostać nigdzie, lecz dziwna sprawa (po to właśnie mówię o tym) – kapitan przez cały miesiąc, odkąd się tu sprowadził, nie wzbudził

we mnie najmniejszej irytacji. Od znajomości oczywiście uchyliłem się zaraz na początku, zresztą jemu też nudziło się ze mną od pierwszej chwili, ale choćby nie wiem ile tam wrzeszczeli za swoim przepierzeniem i choćby nie wiem ilu ich tam było – jest mi zawsze wszystko jedno. Siedzę przez całą noc i, doprawdy, nie słyszę ich – do tego stopnia o nich zapominam. Ja przecież co noc nie śpię aż do świtu, i tak już od roku. Przesiaduję całymi nocami przy stole na fotelu i nic nie robię. Książki czytam tylko w dzień. Siedzę i nawet nie myślę, tak po prostu, jakieś myśli się snują, a ja im folguję. Świecek w ciągu nocy wypala się do ostatka. Siadłem cicho przy stole, wyjąłem rewolwer i położyłem przed sobą. Kiedy go położyłem, to, pamiętam, zadałem sobie pytanie: “Czy tak?”, i z całą stanowczością odpowiedziałem sobie: “Tak”. To znaczy, zastrzelę się. Wiedziałem już, że tej nocy zastrzelę się na pewno, ale jak długo jeszcze będę siedział przedtem przy stole – tego nie wiedziałem. I z pewnością bym się zastrzelił, gdyby nie ta dziewczynka.

## II

Rzecz w tym, że chociaż było mi wszystko jedno, to ból jednak na przykład czułem. Gdyby mnie ktoś uderzył, poczułbym ból. Tak samo pod względem moralnym: gdyby się, dajmy na to, zdarzyło coś bardzo żalosego, to poczułbym litość, zupełnie tak jak wtedy, kiedy nie było mi jeszcze w życiu wszystko jedno. Poczułem też litość tego wieczoru: dziecku na pewno bym pomógł. Więc dlaczego nie pomogłem dziewczynce? Z powodu pewnej myśli, która wtedy zjawiała się: kiedy szarpała mnie i wołała, nagle stanęło przede mną pytanie i nie umiałem na nie odpowiedzieć. Pytanie było błahe, ale się zirytowałem. Zirytowałem się wskutek takiego rozumowania, że skoro już postanowiłem, że tej nocy skończę ze sobą – wobec tego wszystko na świecie powinno stać się dla mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek obojętne. Czemu więc nagle poczułem, że nie jest mi wszystko jedno i że mi żal dziewczynki? Pamiętam, że mi się zrobiło jej bardzo żal, aż do bólu jakiegoś dziwnego, zupełnie nawet niewiarygodnego w moim położeniu. Doprawdy nie potrafię lepiej wyrazić tego przelotnego wrażenia, ale trwało ono również w domu, kiedy rozsiadłem się już za stołem, zirytowany, jak już dawno nie byłem. Wydawało się jasne, że skoro jestem człowiekiem, jeszcze nie zerem, dopóki nie zamieniłem się w zero, więc żyję, a zatem mogę cierpieć, gniewać się i odczuwać wstyd z powodu swoich postępów. Dajmy na to. Lecz jeśli się zabiję na przykład za dwie godziny, to co mnie obchodzi dziewczynka, co mnie wtedy obchodzi wstyd i w ogóle wszystko na świecie. Staję się zerem, zerem absolutnym. Więc czy świadomość tego, że za chwilę całkowicie przestanę istnieć, a zatem nic w ogóle nie będzie istniało, nie mogła mieć najmniejszego wpływu ani na uczucie litości do dziewczynki, ani na uczucie wstydu wskutek podłego postępu? Przecież właśnie dlatego zatupałem i wrzasnąłem nieludzko na nieszczęsne dziecko, że, widzicie, nie tylko nie czuję litości, ale choćbym nawet popełnił najhaniebniejszy uczynek, to teraz mi wolno, bo za dwie godziny wszystko ustanie. Czy mi uwierzycie, że dlatego krzyknąłem? Jestem teraz niemal pewien tego. Wydawało mi się jasne, że życie i świat teraz jakby ode mnie zależą. Można powiedzieć nawet tak, że świat teraz jakby dla mnie jednego istnieje: wystarczy, bym się zastrzelił, a świata nie będzie, przynajmniej dla mnie. Nie mówiąc już o tym, że może istotnie dla nikogo nic nie będzie po mnie, i cały świat, ledwie zgaśnie moja świadomość, też zgaśnie od razu jak mara, jak coś, co należy tylko do mojej świadomości, i przestanie istnieć, albowiem może cały ten świat i ci ludzie – to tylko ja jeden. Pamiętam, że siedząc i rozmyślając roztrząsałem wszystkie te nowe pytania, tłoczące się jedno za drugim, i wymyślałem coś już zupełnie nowego. Na przykład nagle przysłała mi do głowy dziwna myśl, że gdybym żył przedtem na Księżycu, albo dajmy na to na Marsie, i gdybym popełnił tam jakiś najhaniebniejszy, najbezpieczniejszy uczynek, jaki w ogóle można sobie wyobrazić, i gdybym został

tam z jego powodu pohańbiony i zbezczeszczony tak, jak tylko można poczuć to i wyobrazić sobie chyba czasami we śnie, w koszmarze, i gdybym, znalazłszy się potem na Ziemi, zachował nadal świadomość tego, co popełniłem na innej planecie, a poza tym wiedziałbym, że już tam w żadnym wypadku nie wrócę – czy wtedy, patrząc z Ziemi na Księżyc, byłoby mi wszystko jedno czy nie? Czy wstydziłbym się tego uczynku, czy nie? Pytania były błahe i zbyteczne, ponieważ rewolwer leżał już przede mną i całą swoją istotą wiedziałem, że to się stanie, ale mnie rozpałały, i wściekałem się. Było mi tak, jakbym nie mógł już teraz umrzeć, nie rozstrzygnąwszy czegoś uprzednio. Jednym słowem, ta dziewczynka mnie uratowała, dlatego że pytaniami oddaliłem wystrzał. U kapitana tymczasem też zaczęło się wszystko uciszać: przestali grać w karty, szykowali się do snu, a na razie gderali i ospale, od niechcenia łajali się. No i właśnie wtedy zasnąłem – co mi się nigdy przedtem nie przytrafiło – za stołem w fotelu. Zasnąłem całkiem niepostrzeżenie. Sen, jak wiadomo, to nadzwyczaj dziwne zjawisko: niektóre rzeczy widzimy przerażająco wyraźnie, z najbardziej szlifierskim wykończeniem szczegółów, przez inne natomiast przeskakujemy, jakby w ogóle ich nie dostrzegając, na przykład przez czas i przestrzeń. Snami chyba kieruje nie rozum, lecz chęć, nie głowa, lecz serce, a co za przedziwne sztuki robił niekiedy mój rozum we śnie! Dzieją się z nim we śnie rzeczy zupełnie niepojęte. Mój brat na przykład umarł pięć lat temu. Niekiedy mi się śni: bierze udział w moich sprawach, bardzo jesteśmy zaafetowani, a jednocześnie doskonale, na przestrzeni całego snu, wiem i pamiętam, że brat zmarł i został pochowany. A więc dlaczego nie dziwię się temu, że chociaż nie żyje, mimo to jest tu przy mnie i razem ze mną o coś zabiega? Dlaczego mój rozum to całkowicie dopuszcza? Ale dość tego. Przystępuję do mego snu. Tak, przyśnił mi się wtedy ten sen, mój sen z trzeciego listopada! Oni drocą się teraz ze mną, że to przecież był tylko sen. Ale czy nie wszystko jedno, czy to sen czy nie sen, skoro zwiastował mi Prawdę? Przecież jeśli raz się poznało prawdę, zobaczyło się ją, to się wie, że to prawda i że innej nie ma i nie może być, bez względu na to czy śpimy, czy też żyjemy. No więc niech to będzie sen, przypuśćmy, ale wszak ja to życie, które wy wychwalacie, chciałem zgasić samobójstwem, a sen mój, sen mój – o, on mi zwiastował nowe, wielkie, odnowione, mocne życie! Posłuchajcie!

### III

Powiedziałem, że zasnąłem niepostrzeżenie i nawet jakby dalej rozmyślając o tej samej materii. Nagle mi się przyśniło, że biorę rewolwer i siedząc kieruję go sobie prosto w serce – tak, w serce, nie w głowę; bo przedtem postanowiłem koniecznie strzelić sobie w głowę, i to nie inaczej niż w prawą skroń. Skierowawszy go w pierś, zatrzymałem się na jedną czy dwie sekundy, a wtedy świeczka moja, stół i ściana przede mną nagle poruszyły się i zawirowały. Czym prędzej strzeliłem.

We śnie spadamy czasem z wysokości albo nas zarzynają lub biją, ale nigdy nie odczuwamy bólu, chyba że rzeczywiście uderzymy się o coś w łóżku; wtedy czujemy ból i niemal zawsze budzimy się z bólu. Tak było i w moim śnie: nie czułem bólu, ale wydało mi się, że wraz z wystrzałem targnął mną jakiś wstrząs i wszystko nagle zgasło, i zrobiło się wokół mnie okropnie czarno. Było tak jakbym oślepl i oniemiał, i oto leżę na czymś twardym, wyciągnięty na wznak, nic nie widzę i nie mogę zrobić najmniejszego ruchu. Wokoło chodzą i krzyczą, huczy basem kapitan, piszczy histerycznie gospodyni – i nagle znów przerwa, i oto już niosą mnie w zamkniętej trumnie. Czuję, jak kołysze się trumna, i zastanawiam się nad tym, i nagle po raz pierwszy zdumiewa mnie myśl, że ja przecież umarłem, zupełnie umarłem, wiem o tym i nie wątpię, nie widzę i nie poruszam się, a jednocześnie czuję i zastanawiam się. Ale wkrótce godzę się z tym i normalnie, jak we śnie, przyjmuję rzeczywistość bez dyskusji.

Oto mnie zakopują do ziemi. Wszyscy odchodzą, jestem sam, zupełnie sam. Nie poruszam się. Zawsze

dawniej, kiedy sobie wyobrażałem na jawie, jak to mnie pochowają w mogile, kojarzyłem z nią właściwie wrażenie wilgoci i zimna. Teraz też poczułem, że mi bardzo zimno, zwłaszcza w koniuszki palców u nóg, ale więcej nic nie czułem.

Leżałem i, dziwna rzecz – niczego nie oczekiwałem, przyjmując jako coś bezspornego, że nieboszczyk nie ma się czego spodziewać. Ale było wilgotno. Nie wiem, ile to trwało – godzinę, kilka dni czy wiele dni. Ale w pewnej chwili na moje lewe zamknięte oko spadła, przesączywszy się przez wieko trumny, kropla wody, za nią po chwili druga, następnie po chwili trzecia, i tak dalej w takich samych odstępach. Głębokie oburzenie zapłonęło w moim sercu i nagle poczułem w nim fizyczny ból. “To moja rana – pomyślałem – to wystrzał, tam jest kula...”. A kropla wciąż kapała, co chwila, prosto na moje zamknięte oko. I nagle zawołałem, nie głosem, lecz całą swoją istotą – do władcy tego wszystkiego, co działo się ze mną:

– Kimkolwiek jesteś, jeżeli jesteś i jeżeli istnieje coś rozumniejszego nad to, co się teraz dzieje, to pozwól temu czemuś być również tutaj. Jeżeli zaś mścisz się na mnie za nierozsądne moje samobójstwo potwornością i bezsenssem dalszego bytu, to wiedz, że przenigdy żadna męka, jakakolwiek mnie spotka, nie da się porównać z pogardą, którą będę odczuwał w milczeniu, choćby to trwało miliony lat męczarni!

Wezwałem i umilkłem. Prawie całą minutę trwała głęboka cisza, nawet jeszcze jedna kropla spadła, ale wiedziałem, bezgranicznie i nieugięcie wiedziałem i wierzyłem, że zaraz wszystko musi się zmienić. Wtem nagle rozwarła się moja mogiła. To jest nie wiem, czy została otwarta i rozkopana, ale uczułem, że jestem pochwycony przez jakąś dziwną i nieznaną istotę i znaleźliśmy się w przestrzeni. Nagle przejrzałem: była głęboka noc, nigdy, przenigdy nie było jeszcze tak ciemno!

Unosiliśmy się w przestrzeni już daleko od Ziemi. Nie pytałem o nic tego, który mnie niósł, czekałem i byłem dumny. Zapewniałem siebie, że się nie boję, i zamierałem z zachwytu na myśl o tym, że się nie boję. Nie pamiętam już, jak długo mknęliśmy, nie mogę sobie tego nawet wyobrazić: wszystko odbywało się tak, jak zawsze we śnie, kiedy się przeskakuje przestrzeń i czas oraz prawa istnienia i rozsądku, zatrzymując się tylko na punktach, o których marzy serce. Pamiętam, że nagle dojrzałem w ciemnościach jedną gwiazdkę. “To Syriusz?” – zapytałem wbrew woli, nie mogąc się powstrzymać, o nic bowiem nie chciałem pytać. “Nie, to ta sama gwiazda, którą widziałeś wśród obłoków wracając do domu” – odpowiedziała niosąca mnie istota. Wiedziałem, że ma jak gdyby ludzkie oblicze. Dziwna rzecz, nie lubiłem tej istoty, nawet czułem do niej głęboki wstręt. Spodziewałem się zupełnego niebytu, z tą myślą strzeliłem sobie w serce. A teraz jestem w rękach istoty, nie ludzkiej, rzecz jasna, ale która jest, istnieje: “A więc i za grobem jest życie!” – pomyślałem z ową dziwną lekkomyślnością snu, ale najistotniejsza treść mego serca pozostawała ze mną w całej pełni: “Jeżeli trzeba być znowu – pomyślałem – i znów żyć wskutek czyjejś nieuniknionej woli, to nie chcę, żeby mnie pokonano i ponizono!” – “Ty wiesz, że się ciebie boję, i dlatego mną pogardzasz” – odezwał się nagle do swego towarzysza, nie mogąc się powstrzymać od poniżającego pytania, w którym zawarte było wyznanie, czując zarazem w sercu jak ukłucie szpilką swoje poniżenie. Nie odpowiedział mi na pytanie, ale nagle poczułem, że mną nie pogardza i nie śmieje się ze mnie, i że nasza droga ma cel niewiadomy, tajemniczy i dotyczący tylko mnie jednego. Trwoga rosła w moim sercu. Coś bez słów, ale w męce udzielało mi się od mojego milczącego towarzysza i jakby mnie przenikało. Mknęliśmy w ciemnych, nieznanach przestworzach. Dawno już przestałem widzieć znajome oku gwiazdozbiory. Wiedziałem, że są takie gwiazdy w niebiańskich przestworzach, których promienie dochodzą do Ziemi dopiero po tysiącach, milionach lat. Być może lecieliśmy już po tych przestworzach... Oczekiwałem czegoś pełen strasznego szarpiącego mi serce smutku. Wtem targnęło mną jakieś znajome, w najwyższym stopniu przejmujące uczucie, coś jakby tęskne

wołanie: ujrzałem nagle nasze słońce! Wiedziałem, że to nie może być nasze słońce, które zrodziło naszą ziemię, wiedziałem, że znajdujemy się w nieskończonej odległości od naszego słońca, ale poznałem, nie wiem czemu, całą swoją istotą, że jest to zupełnie takie samo słońce jak nasze, jego powtórzenie, jego sobowtór. Rozkoszne, tęskne uczucie zabrzmiało zachwytem w mej duszy: bratnia siła światła, tego samego, co mnie zrodziło, odezwała się echem w mym sercu i wskrzesiła je, poczułem życie, dawne życie, po raz pierwszy od wzlotu z mogiły.

– Ale jeśli to jest słońce, jeśli to zupełnie takie samo słońce jak nasze – zawołałem – to gdzie jest Ziemia? – Mój towarzysz wskazał mi gwiazdkę, świecącą w ciemności szmaragdowym blaskiem. Mknęliśmy prosto ku niej.

– Czyżby możliwe były takie powtórzenia we wszechświecie, czyżby takie było prawo natury? A jeśli to Ziemia, czyż to może być taka sama ziemia jak nasza... zupełnie taka sama, nieszczęśliwa, nędzna, ale droga i wiecznie kochana, taką samą dręczącą miłość rodząca ku sobie w najbardziej nawet niewdzięcznych dzieciach swoich jak nasza? – wołałem drżąc z niepowstrzymanej ekstatycznej miłości do tej dawnej, bliskiej sercu ziemi, którą porzuciłem. Obraz biednej, skrzywdzonej przeze mnie dziewczynki, przemknął mi przed oczami.

– Zobaczysz wszystko – odrzekł mój towarzysz i jakiś smutek zabrzmiał w jego słowach. Szybko zbliżyliśmy się do planety. Rosła w mych oczach, już dostrzegałem ocean, zarysy Europy; wtem dziwne uczucie jakiejś wzniosłej, świętej zazdrości zapłonęło w mym sercu: “Czy możliwe jest podobne powtórzenie i po co? Kocham, mogę kochać tylko tę ziemię, którą porzuciłem, na której zostały smugi krwi mojej, kiedy, niewdzięcznik, wystrzałem w serce zgasilem swoje życie. Ale nigdy, przenigdy nie przestałem kochać tej ziemi, nawet owej nocy, rozstając się z nią, może kochałem ją jeszcze boleśniej niż kiedykolwiek. Czy jest ból na tej nowej ziemi? Na naszej ziemi, zaiste możemy kochać tylko boleśnie i tylko poprzez ból! Inaczej nie potrafimy kochać, nie znamy innej miłości. Chcę bólu, aby kochać. Chcę, pragnę natychmiast całować, zalewając się łzami, tylko tę ziemię, którą porzuciłem, i nie chcę, nie przyjmę życia na żadnej innej!...”

Ale mój towarzysz już mnie opuścił. Nagle, niemal nie dostrzegając tego, stanąłem na tej drugiej ziemi w jaskrawym blasku słonecznego dnia, uroczego jak raj. Stałem chyba na jednej z tych wysp, które stanowią na naszej ziemi archipelag grecki, albo gdzieś na brzegu lądu sąsiadującego z tym archipelagiem. O, wszystko było zupełnie takie samo jak u nas, ale, rzekłbyś, wszędzie lśnił jakiś odświętny blask, jakiś wielki, święty i osiągnięty nareszcie triumf. Łagodne, szmaragdowe morze cicho pluskało o brzegi i całowało je z miłością jawną, widoczną, niemal świadomą. Wysokie, piękne drzewa stały w pełnej krasie kwitnienia, a niezliczone ich listki, pewien jestem tego, witaly mnie cichym, pieściwym szmerem, wymawiając jak gdyby słowa miłości. Murawa płonęła jaskrawymi wonnymi kwiatami. Ptaszki stadami fruwały w powietrzu i bez trwogi siadały mi na ramionach i rękach, radośnie muskając mnie wdzięcznymi, drgającymi skrzydełkami. Wreszcie zobaczyłem i poznałem również mieszkańców tej szczęśliwej ziemi. Przyszli do mnie sami, otoczyli mnie, całowali mnie. Dzieci słońca, dzieci swojego słońca – o, jakże byli piękni! Nigdy nie widziałem na naszej ziemi ludzi o takiej urodzie. Jedyne bodaj u dzieci naszych, w zaraniu ich życia, można znaleźć daleki odbłask tej urody. Oczy tych szczęśliwych ludzi lśniły pogodnym blaskiem, twarze jaśniały mądrością i pełnią spokojnej świadomości, ale twarze te były wesołe; w słowach i głosach tych ludzi dźwięczała dziecinna radość. Gdy tylko spojrział na ich twarze, zrozumiałem wszystko, wszystko! Była to ziemia nie skażona grzechem pierworodnym, żyli na niej ludzie, co nie zgrzeszyli; żyli w takim samym raju, jak – zgodnie z wierzeniami całej ludzkości – nasi grzeszni prarodzice, z tą tylko różnicą, że cała ziemia była jednym wielkim rajem. Ci ludzie, radośnie się śmiejąc, otoczyli mnie ciasnym kręgiem i okazywali mi swoją życzliwość, zabrali mnie do siebie i każdy z nich chciał mnie uspokoić. O, nie wypytawali mnie o nic, lecz jakby wszystko wiedzieli, tak mi się wydawało, i pragnęli jak najszybciej zetrzeć cierpienie z mej twarzy.

## IV

No dobrze, przypuśćmy, że to był tylko sen! – Ale wrażenie miłości tych niewinnych i pięknych ludzi pozostało we mnie na zawsze i czuję, że ich miłość płynie do mnie stamtąd jeszcze teraz. Widziałem ich, poznałem z bliska, kochałem ich, bolałem z ich powodu później. O, ja natychmiast pojąłem, że pod wieloma względami nie rozumiem ich wcale; jako nowoczesny rosyjski postępowiec i zgniły petersburżanin nie pojmowałem na przykład tego, że przy takiej wiedzy nie posiadają naszej nauki. Ale wkrótce zrozumiałem, że ich wiedza żywi się innymi elementami niż u nas na Ziemi i że cele ich też są zupełnie inne. Nie pragnęli niczego i byli spokojni, nie dążyli do poznania życia, tak jak my to czynimy, ponieważ żywot ich był pełny. Ale wiedza ich była głębsza i wyższa niż nasza: nauka bowiem pragnie wytłumaczyć, co to jest życie, dąży do pojęcia go, aby nauczyć innych, jak żyć; oni zaś i bez nauki wiedzieli jak żyć, i zrozumiałem to, ale nie mogłem pojąć rodzaju ich wiedzy. Wskazywali mi na drzewa swoje – a ja nie mogłem zrozumieć tego stopnia miłości, z jakim na nie patrzyli: jakby rozmawiali z podobnymi sobie istotami. I, wiecie, chyba się nie omyłem, twierdząc, że istotnie z nimi rozmawiali! Odnaleźli ich język i jestem pewien, że drzewa ich rozumiały. Tak patrzyli na całą przyrodę – na zwierzęta, które żyły z nimi w zgodzie, które nie napadały na nich i kochały ich, ujęte ich miłością. Wskazywali na gwiazdy i mówili o nich do mnie coś, czego nie mogłem zrozumieć, ale jestem przekonany, że w pewnym sensie obcowali z gwiazdami w niebie, i to nie za pomocą samej myśli, lecz jakiegoś żywego kontaktu. Och, ci ludzie nie starali się wcale o to, bym ich rozumiał, kochali mnie i bez tego, ale za to wiedziałem, że oni też nigdy mnie nie rozumieją, i dlatego nie prawie im nie mówiłem o naszej Ziemi. Całowałem tylko przy nich tę ziemię, na której żyli, i bez słów ubóstwiałem ich, a oni to widzieli i pozwalali się ubóstwiać, bo sami bardzo kochali. Nie cierpieli z mojego powodu, kiedy czasami we łzach całowałem ich nogi, wiedząc radośnie w swym sercu, z jaką mocą uczucia mi odpowiedzą. Niekiedy pytałem sam siebie w zdumieniu: jak to możliwe, że przez cały czas nie obrazili kogoś takiego jak ja, ani razu nie wzbudzili w kimś takim uczucia zazdrości czy zawiści? Wiele razy zadawałem sobie pytanie, jak mogłem ja – łgarz i zarozumialec – nie puszyć się swoimi wiadomościami (o których, rzecz jasna, nie mieli pojęcia), chcąc zadziwić ich nimi – lub choćby tylko z miłości dla nich? Byli radośni i figlarni jak dzieci. Błądzili po swoich pięknych gajach i lasach, śpiewali swoje piękne pieśni, spożywali lekkie pokarmy, owoce drzew swoich, miód lasów i mleko przywiązanych do nich zwierząt. Aby wyżywić się i przyodziać, pracowali niewiele i bez wysiłku. Miłowali się i rodziły się im dzieci, ale nigdy nie dostrzegłem tam wybuchów owej okrutnej zmysłowości, która jest udziałem niemal wszystkich na naszej ziemi, wszystkich i każdego, i stanowi jedyne prawie źródło wszystkich występków naszej ludzkości. Cieszyli się z pojawiających się dzieci jako z nowych uczestników ich błogiej radości. Nie było między nimi kłótni i nie było zazdrości, nie rozumieli nawet, co to znaczy. Ich dzieci były dziećmi wszystkich, gdyż wszyscy stanowili jedną rodzinę. Niemalże nie spotykało się wśród nich chorób, chociaż była śmierć, ale starzy ludzie umierali cicho, jakby zasypiając, otoczeni żegnającymi ich ludźmi, błogosławiąc ich, uśmiechając się do nich, odprowadzani z kolei ich pogodnymi uśmiechami. Bólu, łez przy tym nie widziałem, była tylko miłość spotęgowana aż do zachwycenia, jakie daje spokój, spełnienie, kontemplacja. Można było pomyśleć, że obcuja jeszcze ze swoimi zmarłymi i że ziemską łączność z nimi nie została zerwana przez śmierć. Prawie nie rozumieli mnie, kiedy pytałem ich o wieczny żywot, ale widocznie byli bezwiednie tak pewni jego istnienia, że nie było to dla nich problemem. Nie mieli świątyń, ale mieli jakąś powszednią, żywą i nieustanną więź z Całym wszechświatem. Oczekiwali tego momentu z radością, wszelako nie spiesząc się, nie tęskniąc za nim, lecz mając go

już jakby w przeczuciach serca swojego, o czym wieści podawali sobie nawzajem. Wieczorami, udając się na spoczynek, chętnie tworzyli zgodne harmonijne chóry. W pieśniach tych przekazywali wszystkie wrażenia, których dostarczył im odchodzący dzień, sławili go i żegnali się z nim. Opiewali przyrodę, ziemię, morze, lasy. Lubili składać pieśni o sobie i wychwalali się też nawzajem, jak dzieci; były to całkiem proste pieśni, ale wylewały się z serca i przenikały serca. Zresztą nie tylko w pieśniach – rzekłbyś, całe życie spędzali jedynie na wzajemnym podziwianiu się. Było to jakieś powszechne zakochanie, całkowite, wszechogarniające. Ale niektórych pieśni, uroczystych i ekstatycznych, prawie zupełnie nie rozumiałem. Rozumiejąc słowa, nigdy nie umiałem przeniknąć całego ich sensu. Pozostawał jakby niedostępny mojemu umysłowi, natomiast serce moje wchłaniało go bezwiednie i coraz bardziej. Często mówiłem im, że ja to wszystko od dawna już przeczuwałem, że cała ta radość i chwała odzywała się we mnie już od naszej ziemi tęsknym wołaniem, graniczącym czasami z dotkliwym smutkiem; że przeczuwałem ich wszystkich, ich wspaniałość w snach mego serca i w marzeniach mojego umysłu, że często nie mogłem patrzeć na ziemi naszej na zachodzące słońce bez łez... Że w nienawiści mojej do ludzi naszej ziemi zawsze kryła się troska; czemu nie mogę ich nienawidzić bez kochania, czemu nie mogę im nie przebaczać; w mojej miłości zaś do nich troska: czemu nie mogę ich kochać bez nienawiści? Słuchali mnie i widziałem, że nie mogą sobie wyobrazić tego, o czym mówię, ale nie żałowałem, że mówię im o tym: wiedziałem, że rozumieją całą moc mojej tęsknoty do tych, których porzuciłem. Tak, kiedy patrzyli na mnie swym kochanym, pełnym miłości spojrzeniem, kiedy czułem, że przy nich i moje serce staje się równie niewinne i szczerze jak ich serca, nie żałowałem, że ich nie rozumiem. Uczucie pełni życia zapierało mi dech i w milczeniu modliłem się do nich.

O, wszyscy teraz śmieją mi się w twarz i zapewniają, że nawet we śnie nie sposób widzieć takich szczegółów, jakie tutaj podaję, że we śnie miałem tylko jedno wrażenie, zrodzone przez moje własne serce w malignie, a szczegóły zmyśliłem już po przebudzeniu. A kiedy wyznałem im, że może tak było naprawdę – Boże, jak śmiali mi się w oczy, jak ich bawiłem! O tak, oczywiście zostałem ugodzony tylko przez jedno doznanie, tylko ono ocalało w moim do krwi zranionym sercu; natomiast rzeczywiste obrazy i formy mego snu, to znaczy te, które istotnie widziałem w czasie trwania marzenia sennego, przepełnione były taką harmonią, były tak piękne i urocze, tak realne, że obudziwszy się nie byłem w stanie przekazać ich naszymi słabymi słowami, tak że poniekąd z musu zatarły się w moim umyśle, a więc może istotnie sam bezwiednie zmuszony byłem zmyślać potem szczegóły, no i, rzecz jasna, wypaczyłem je, zwłaszcza wobec tak namiętnego pragnienia, by je czym prędzej i w jakimś przynajmniej stopniu przekazać. Jakże bym natomiast miał nie wierzyć, że wszystko to było naprawdę? Było, i może po tysiakkroć piękniejsze, pogodniejsze, radośniejsze niż opowiadam! Przypuśćmy nawet, że to sen, ale to wszystko nie mogło nie mieć miejsca. A wiecie, co wam powiem w tajemnicy? Może to wszystko wcale nie było snem! Bowiem stało się tam coś takiego, coś tak przeraźliwie realnego, że nie mogłoby się tylko śnić. Przypuśćmy, że sen zrodził się w moim sercu, ale czy możliwe, żeby serce zrodziło tę potworną rzecz, która potem zdarzyła się ze mną? Jakże bym mógł sam ją wymyślić czy wyśnić w sercu? Czyżby moje płytkie serce i mój kapryśny marny umysł mogły wznieść się do takiego objawienia prawdy? O, sądzcie sami; kryłem się z tym dotychczas, ale teraz dopowiem i to także. Chodzi o to, że ja... zdeprawowałem ich wszystkich.

Tak, tak, skończyło się na tym, że ich wszystkich zdeprawowałem!

## V

Jak się to mogło stać – nie wiem, ale pamiętam wyraźnie. Sen przeleciał przez tysiąclecia i pozostawił we



mnie jedynie wrażenie całości. Wiem tylko, że przyczyną upadku byłem ja. Jak złośliwa trychina, jak atom dżumy zarazającej całe państwa, tak i ja zaraziłem sobą całą tę szczęśliwą, bezgrzeszną przede mną ziemię. Nauczyli się kłamać i pokochali kłamstwo, i poznali jego piękno. O, to być może zaczęło się niewinnie, od żartu, od kokieterii, gry miłosnej, w samej rzeczy może od atomu, ale ten atom kłamstwa przeniknął w ich serca i spodobał się im. Następnie szybko zrodziła się zmysłowość, ona z kolei zrodziła zazdrość, a ta – okrucieństwo... O, nie wiem, nie pamiętam, ale prędko, bardzo prędko trysnęła pierwsza krew: zdziwili się i przerazili, i zaczęli się rozdzielać, oddalać od siebie. Pojawiły się związki, ale już przeciwko sobie. Zaczęły się wyrzuty, zarzuty. Poznali wstyd i podnieśli go do rangi cnoty. Zrodziło się pojęcie honoru, i w każdym związku pojawił się własny sztandar. Zaczęli dręczyć zwierzęta, a one uciekły do lasów i stały się im wrogami. Zaczęła się walka o rozdział, o wyodrębnienie, o sprawy osobnicze, o moje i twoje. Zaczęli mówić różnymi językami. Poznali smutek i pokochali smutek, pragnęli cierpienia i mówili, że prawdę osiąga się przez cierpienie. Wtedy pojawiła się u nich nauka. Kiedy stali się źli, zaczęli mówić o braterstwie i humanitaryzmie i zrozumieli te idee. Kiedy się stali występni, wynaleźli sprawiedliwość i ułożyli sobie całe kodeksy, żeby ją zagwarantować, a dla zabezpieczenia kodeksów wystawili gilotynę. Ledwie pamiętali o tym, co utracili, nawet nie chcieli wierzyć w to, że byli kiedyś niewinni i szczęśliwi. Śmiali się nawet z możliwości tego dawnego szczęścia i nazywali je marzeniem. Nie mogli go nawet wyobrazić sobie w kształtach i obrazach, ale dziwna, przedziwna rzecz: utraciwszy wszelką wiarę w minione szczęście, nazwawszy je baśnią, do tego stopnia zapragnęli być z powrotem niewinni, szczęśliwi, że padli przed pragnieniami swych serc, jak dzieci, ubóstwili to pragnienie, wybudowali świątynie i zaczęli się modlić do własnego pomysłu, własnego "pragnienia", całkowicie wierząc zarazem w jego nieziszczalność, ale ze łzami je adorując i korząc się przed nim. Jednak gdyby się mogło tak stać, żeby wrócili do tego stanu niewinności i szczęścia, który utracili, gdyby ktoś nagle znów im go pokazał i zapytał, czy chcą go odzyskać – na pewno by odmówili. Odpowiedzieli mi: "Zgoda, jesteśmy kłamliwi, źli i niesprawiedliwi, ale wiemy o tym i płacemy z tego powodu, i dręczymy się za to sami, i torturujemy siebie i karzemy więcej nawet, niż uczyni to miłosierny sędzia, który będzie nas sądził, a którego imienia nie znamy. Ale mamy naukę, a poprzez nią odnajdziemy znów prawdę, lecz przyjmujemy ją już świadomie, wiedza jest wyższa nad uczucie, świadomość życia – ponad życie. Nauka daje nam mądrość głęboką, mądrość odkryje nam prawa, a znajomość prawd szczęścia wyższa jest ponad szczęście". Tak mówili, a po takich słowach każdy pokochał siebie więcej niż wszystkich, zresztą nie mogło być inaczej. Każdy stał się tak zazdrosny o swoją osobowość, że wszystkimi siłami starał się tylko poniżyć ją i pomniejszyć u innych ludzi, i w tym widział sens swego życia. Pojawiło się niewolnictwo, nawet dobrowolne niewolnictwo: słabi chętnie podporządkowywali się silniejszym, po to tylko, żeby ci pomagali im uciskać jeszcze słabszych. Zjawili się sprawiedliwi, którzy przychodzili do tych ludzi ze łzami i mówili im o pysze, o utracie miary i harmonii, o utracie przez nich wstydu. Śmiano się z nich lub kamienowano ich. Święta krew lała się na progach świątyń. Zaczęli się także pojawiać ludzie, którzy się zastanawiali: jak by się na nowo połączyć, aby każdy, nie przestając kochać siebie ponad wszystkich, jednocześnie nie przeszkadzał nikomu innemu, żeby wszyscy mogli w ten sposób żyć w zgodnym społeczeństwie. W związku z tą ideą zaczęły się wojny. Wszyscy wojujący jednocześnie wierzyli niezłomnie, że nauka, mądrość i instynkt samozachowawczy zmuszą wreszcie ludzi do zjednoczenia się w zgodne i rozsądne społeczeństwo, i dlatego tymczasem, dla przyspieszenia rzeczy, "najmądrzejsi" starali się jak najszybciej wytepić "nie najmądrzejszych" i nie rozumiejących ich idei, aby nie przeszkadzali jej zatriumfować. Ale instynkt samozachowawczy zaczął szybko słabnąć, pojawili się pyszałkowie, zachłanni, których mowa znała jedno: wszystko albo nic. Dla osiągnięcia celu uciekano się do zbrodni, a jeżeli się nie udawała – do samobójstwa.

Pojawiły się religie z kultem niebytu i samozniszczenia, które wieść miało do wiecznego spokoju w nirwanie. Wreszcie ludzie osłabli w bezsensownym trudzie i na ich twarzach pojawił się wyraz cierpienia, a wtedy ogłosiłi wszem wobec, że cierpienie to piękno, bowiem jedynie w cierpieniu jest myśl. Opiewali cierpienie w pieśniach swoich. Chodziłem między nimi załamując ręce, płakałem nad nimi, ale kochałem ich może jeszcze bardziej niż przedtem, kiedy to na ich twarzach nie było jeszcze cierpienia, kiedy byli niewinni i piękni. Pokochałem ich skalaną przez nich ziemię jeszcze bardziej niż wtedy, gdy była rajem, za to jedynie, że zjawilo się na niej nieszczęście. Niestety, zawsze kochałem smutek i cierpienie, ale tylko dla siebie, dla siebie, bo nad nim płakałem z litości. Wyciągałem do nich ręce w rozpacz, oskarżając się, przeklinając i gardząc sobą. Mówiłem im, że to wszystko zrobiłem ja, ja jeden, że to ja im przyniosłem rozpustę, zarazę i kłamstwo! Błagałem ich, żeby mnie ukrzyżowali, uczyłem ich, jak mają zrobić krzyż. Nie mogłem, nie miałem sił sam się zabić, ale chciałem przyjąć od nich mękę, pragnąłem męki, pragnąłem, aby w tej męce została przelana moja krew do ostatniej kropli. Ale oni tylko śmiali się ze mnie i w końcu zaczęli uważać mnie za pomyleńca. Usprawiedliwiali mnie, mówili, że otrzymali tylko to, czego sami pragnęli, i że wszystko, co się dzieje teraz, musiało się dokonać. Wreszcie oświadczyli mi, że zaczynam być dla nich niebezpieczny i że wsadzą mnie do domu wariatów, jeżeli nie zamilknę. Wtedy przepelnił mi duszę tak potężny ból, że serce mi się skrwawiło i poczułem, że umieram, a wtedy – wtedy się właśnie obudziłem.

Był już ranek, i choć jeszcze się nie rozwidniło, mogło być mniej więcej po piątej. Ocknąłem się w tym samym fotelu, moja świeca dopaliła się do końca. U kapitana spali – i naokoło była niezwykła w naszym mieszkaniu cisza. Zerwałem się z miejsca pełen zdumienia; nigdy jeszcze nie działo się ze mną nic podobnego, nie tylko ogólnie, lecz i w drobiazgach. Na przykład nigdy nie zasypiałem w fotelu. Kiedy tak stałem, stopniowo odzyskując przytomność, nagle wpadł mi w oczy rewolwer, gotowy, nabity – ale teraz błyskawicznie odepchnąłem go od siebie! O, teraz żyć! Żyć całą duszą! Podniosłem w górę ramiona i wezwałem wieczną prawdę. Nie, nie wezwałem, lecz zapłakałem; zachwył, bezmierny zachwył wypełniał całą moją istotę. Tak, żyć i – głosić prawdę! Tak zdecydowałem w owej chwili – przez całe życie głosić prawdę. Będę głosić, chcę głosić – co? Prawdę, albowiem widziałem ją, widziałem na własne oczy, widziałem całą jej wspaniałość!

No i od tego czasu głoszę ją! Poza tym – kocham tych, co się ze mnie śmieją, bardziej niż wszystkich innych. Dlaczego tak jest – nie wiem i nie potrafię wytłumaczyć, ale niech już tak będzie. Oni mówią, że ja już teraz się płaczę, no więc skoro już teraz tak mi się popłatało, to co będzie dalej? To szczerza prawda: płaczę się, i może dalej będzie jeszcze gorzej. Oczywiście, pomylę się kilka razy, zanim dojdę do tego, jak głosić, to znaczy jakimi słowami i jakimi czynami, gdyż to bardzo trudno wykonać. Przecież już teraz jest to wszystko dla mnie jasne jak słońce, ale słuchajcie: kto się nie myli? A tymczasem wszyscy idą przecież do tego samego, przynajmniej dążą do tego samego, od mędrca do ostatniego zbója, tylko różnymi drogami. To stara Prawda, ale jest w niej coś nowego: nawet pomylić się zbytnio nie mogę – ponieważ widziałem Prawdę, widziałem i wiem, że ludzie mogą być piękni i szczęśliwi, nie tracąc możliwości życia na Ziemi. Nie chcę i nie kogę wierzyć, żeby zło było normalnym stanem ludzi. A przecież oni cały czas właśnie z tej mojej wiary się śmieją. Jakże mam nie wierzyć: widziałem Prawdę – nie, nie doszedłem do niej na drodze rozumowania, lecz widziałem, widziałem, i żywy jej wizerunek wypełnił duszę moją na wieki. Widziałem ją w tak pełnej postaci, że nie wierzę, aby nie mogła być u ludzi. A więc jak ja się mogę mylić? Mogę zboczyć, oczywiście nawet kilka razy, będę mówił być może nawet cudzymi słowami, ale nie na długo: żywy wizerunek tego, co widziałem, będzie zawsze ze mną, zawsze mnie poprawi i mną pokieruje. O, jestem

rzeński, pełen energii, idę, idę i choćby na tysiąc lat. Wiecie, chciałem nawet ukryć początkowo, że zdeprawowałem ich wszystkich, ale to był błąd – oto już pierwszy błąd! Ale Prawda szepnęła mi, że kłamię, i ochroniła mnie, i pokierowała mną. Ale jak urządzić raj – nie wiem, bo nie potrafię przekazać tego słowami. Po śnie moim zgubiłem słowa. Przynajmniej wszystkie główne słowa, najpotrzebniejsze. Ale mimo to pójdę i wszystko będę mówił, bezustannie, bo jednak widziałem na własne oczy, chociaż nie umiem przekazać, co widziałem. Lecz tego właśnie kpiarze nie rozumieją: “Sen, powiadają, nic więcej, maligna, halucynacja”. Ech! Co w tym mądrego? A oni się tak puszą! Sen? Cóż to jest sen? A nasze życie – czy nie jest może snem?! Powiem więcej: dobrze, niech się to nigdy nie spełni, niech nie będzie raj (przecież nawet ja to rozumiem!) – ale ja mimo to będę wieścił. To takie proste: w ciągu jednego dnia, w ciągu jednej godziny – wszystko by było od razu gotowe! Przede wszystkim: kochać innych jak siebie, to jest najważniejsze, i koniec, absolutnie nic więcej nie potrzeba: natychmiast będziemy wiedzieli, jak się urządzić. Właściwie to przecież tylko stara prawda, którą bilion razy powtarzano i czytano, a jednak się nie przyjęła! “Świadomość życia jest ponad życiem, znajomość praw szczęścia – ponad szczęściem” – z tym trzeba walczyć! I będę walczył. Jeżeli tylko wszyscy będą chcieli, od razu wszystko się urządzi.

A tamtą małą dziewczynkę odszukałem... I pójdę! Tak, pójdę!

*Przełożyła Maria Leśniewska*